

3250

Państw. Teatr

~~1584~~
Albo niebo albo piekło

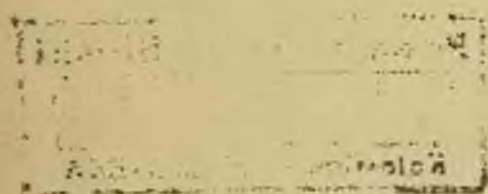
DYREKCJA TEATRU H. SKARBKA

WARSZAWA

Letter to a friend

I

Tadon s. ostentat



N^o 1543

~~1589~~

BIBLIOTEKA TEATRALNA
Własność Grupy m. Lwowa.

Albo niebo albo piekło

*Komedia w 1. akcie.
proza Leona Małczyńskiego*

Państw. Teatr Śląski
SYG. 3250 MF
Katowice — BIBLIOTEKA

*Wypisane
z repertuaru*

DYREKCYA TEATRU
WE
KATOWICACH
R. SKARBKA

*Jan
XII 1913*

Osoby:

Stefan,
Kucyna, jego żona
Roch, jej wuj
Malwina
Alfred
Lanna
Łokaj. role nieme.

Przez dzieje się na wsi.

Wolenski
Stach?

Fischer
Lus...

Pankiewicz
Kierowski
Jan na wsi

S-78/6435



R 2982

Salon, w nim pracownia malarzka, na prawo kanapka, stolik, na nim świeże dzienniki; w głębi stół, na lewo okno, przy nim tyłem do publi-
czności sztaluga z obrazem, obok na fotelu jedna szkatulka z farbami, na
ziemi druga, obie otwarte, tuż mały stolik, na nim różnej wielkości
małe flaszeczki, stoiki, farby - po całym pokoju porozrzucone palety,
pędzle, szkiełki, laseczki, kilka szkiców zakreślonych - wszystko w wielkim
nieporządku. Progi drzwi. (Prawo i lewo od aktorów.)

Scena 1.

Kucyna. (po chw.) Alfred. (na korycie za sceną.) Malwina.

(Kucyna siedzi za sztalugą i nucić maluje, nieuczesana, ubrana niedba-
le, szludnica, koszulka, frasek, wszystko od farb poplamione. Po chw.
z głębi wchodzi Alfred.)

Alfred. Dzień dobry pani.

Kucyna (siedząc i podając rękę). A, pan Alfred! - Czy Brutusie przeciwko mnie?
gdzieś pan był wczoraj? dlaczego pan o mnie zapomniał?

Alfred (z ukłonem trochę zakłopotany). O pani! - Wczoraj? co to było wczoraj?
a! byłem... miałem... to jest wczoraj... (żywio zagadując.) Alex obraz!
nadmierzajny! - ach pani, daję słowo, że...

Kucyna. A właśnie wczoraj nie było Malwinki, bo była u księżnej, byłbyś pan
choć raz miał spokój i nie potrzebował się odcinać - (śmiejąc się)
ach, bo wy ^{moi} ~~moje~~ panstwo, serdecznie musicie się niecierpieć, prawda?

Alfred. O, zbyt wiele byłoby dla mnie zaszczytu, gdyby mnie pani Malwina miała
aż niecierpieć, już obojętność dostatecznie mnie uszczęśliwia.

Kucyna. Wiem, i nie pojmuję, oboje jesteście comme il faut - między wami coś ra-
zło, ale co? powiedz no pan.

Alfred. Ouspewiam panią, że... (żywio) ale ten obraz, daję słowo, że, ożów, nie można
oderwać! (Stoi i patrzy)

Kucyna (śmiejąc się). Ach, jakże pan nieczcnie zagaduje! (Wstaje i z paletą w le-

wem rękę staje koło Alfreda, by się przypatrzyć obrazowi.)

Alfred. Nie pani, ale... (patrzy nieśmiało przez okno, n. s.) Płótno kurzu na go-
ściu - jedzie! (Płótno ciągle rozstarczone traci paletę, w skutek czego
na prawej piersi ciemnego ubrania zostaje mu biała plama.)

Lucyna. Ach przepraszam, pan się poplamiał.

Alfred. (strzepnawszy plamę, kilkakrotnie ręką, bez skutku) Nic nie szkodzi, ale
ach ten kiciuś, ten kiciuś...

Lucyna. Ależ to słonice, nie kiciuś.

Alfred. Oxywicie, że słonice i ten aniołek w tej siatce.

Lucyna. Po hamak przecież a w hamaku moja muszka.

Alfred. A hamak, muszka - tak, tak, przesłizgane, przesłizgane!

Lucyna. (wraca i maluje, n. s.) Tylko moja klasa, ty tutaj w oczkach
masz jeszcze za dużo serca, boś malutka i durniutka, a to ile, och
ile!

Alfred. (zblizywszy się tymczasem do okna, n. s.) Jest! (Łopa się od okna
tak żywo, że uderza o paletę Lucyny i plamę ubranie jeszcze z le-
wej strony!) Przepraszam, przepraszam - cóż ja znowu wyrabiam!

Lucyna. A, znowu plama!

Alfred. (strzepuje f. w.) Nic nie szkodzi. (Chce otworzyć prawe drzwi, ale są
zamknięte.) Gdzie Stefan?

Lucyna. Jakto? jedenasta godzina a pan już chce widzieć mego męża
i pana?! Wziemy krawat, proszę pana i to przy zamkniętych
drzwiach.

Alfred. (żywo) Spróbuję jednak widzieć się ze Stefanem. (Chce żywo wyjść.)

Lucyna. Ależ któredy?

Alfred. Choćby przez okno. (Idzie żywo ku głębi.)

Malwina. (w głębi za sceną). Przeprowadź konia, zaraz jadę dalej.

Lucyna. Malwinka! (śmiejąc się) a, uciekać przed nieprzyjacielem, ależ panie
Alfredzie, to męśnickie!

Alfred. Nie pani, ja wcale nie, tylko... (Z głębi wchodzi Malwina w stroju do
konia.)

Lucyna Alfred, Malwina.

Malwina (n. s.). Alfred jest. (G.) Jak się masz Lucynko? zawsze przy pracy. - Poszekaj, niech się pocatuje. (Haję z daleka, przytrzymuje suknie i gors. by się nie powalać i całuje ją.)

Lucyna (śmiejąc się). Póź za ostrożności! Siadaj, proszę, się. Jakżeś wczoraj ba. witas' się u księżnej?

Malwina. Bardzo dobrze, ja się zawsze dobrze bawię. (Wdaje, że dopiero spostrzegła Alfreda.) A pan Alfred! nie uwarzyłam. (Alfred klania się i staje na środku.) Pan zdaje mi się, nie był wczoraj u księżnej. Wiesz Lucynko, byliśmy w tak miłym kółku, jak się to nie często u księżnej zdarza, nikogo nam nie brakowało. Ale główną atrakcją był hrabia Karlo, przyjechał już - ósmy cud świata, casseur idealny, i podobamy się sobie niestychanie, przynajmniej on mnie bardzo. Ach, jakże on niepodobny do tych ciężkich egipskich sfinksów, co to (nasładowuje postać na Alfreda) stanął na środku salonu, jakby mówili patencie na mnie - hahaha! (Alfred idzie na bok.) Bardzo oni śmieszeni, nie sądzi pan panie Alfredzie? (Siada na prawo.)

Lucyna. A pan czemu nie był? wszak pan bywa u księżnej?

Alfred. Bywam i cenię ją wysoko, ale ja niechętnie idę tam, gdzie zamiast ko. biet mogę spotkać - faterywe swice i wołę już przypadkowi zawdzięczać znajomość z ich różnymi pazurkami - przypadkowi, który (z ukłonem do Malwiny) wyznac to muszę, w tym względzie przegodzić na mnie łaskaw.

Malwina (z ironią). Skromność pańska jest piękna, bo doprawdy nie wielu jest ludzi, którzyby przy spotkaniach i zaletach, jakimś matką natury pana tak hojnie wyposażyla a nade wszystko przy tej wytwornej grzeczności, jaką pana cechuje - (Alfred i Lucyna klaniają się sobie z ironią) - przygnali się do własnej niemocy i tej nierycerskiej ego. la pełności. (Śmiejąc się.) Po mnie rozrzuć, a ciebie Lucynko? (Idzie do obrazu.)

Lucyna. A mnie martwi.

Alfred. Na pogromce nigdy nie porowałem - a co do skromności, to musi ona dristać już chyba być udziałem mężczyzny, skoro (z ukłonem) płęć, słaba o niej zapomniata.

Malwina (udaje, że nie słyszała). Jak ty ślicznie malujesz! - przepraszam pana, nie uwarzyłam, co pan mówił, bardzo żałuję. - A, twoja Musia do pocałowania - pocałuj ją, odemnie.

Lucyna. Już jedziesz?

Malwina. Wracam z leśniczówki, za chwileż znowu tu będę, pokazać panu Stefano wi moje nowe konie irlandzkie. (śatują się j.w.) Mam nadzieję, że mój powrót pana ztąd niewystraszy, co? pańska inteligencja kokietuje mnie szalenie, hahaha! (Ydrie w głąb, staje w drzewiach i śmiejąc się) Jakież? ja się unoszę nad panem, a pan nie masz nawet tyle grzeczności, żeby mi pomódz wsiąść na konia? A, panie Alfredzie! (Wychodzi)

Alfred. Jestem do usług. (Wychodzi żywo za nią.)

Lucyna (po chw.). Nie, stanowczo na przygotłość tak muszę urządzić, żeby ci państwo mieli swoje wazyty, bo każde z osobna, bardzo miłe, a razem są, mierności. (Z prawych drzwi wchodzi Stefan, ubrany bardzo starannie do konia. N. p.) A, pan masz.

Scena 3.

Lucyna, Stefan, (później) Alfred.

Stefan. Dzień dobry. (Staje na progu.)

Lucyna (nie patrząc nań). Dzień dobry. (Maluje dalej.)

Stefan (po chw. n. p.). Jak ona wygląda!

Lucyna (n. p.). Jakże on parady!

Stefan (po chw.). Począta?

Lucyna (nie patrząc nań). Na stole. (Stefan siada przy stole na prawo i przegladają pocztę, Lucyna n. p.) Eto tak od przechlaś.

Stefan (po chw.). Był kto?

Lucyna. Malwinka i pan Alfred.

Stefan (po chw.). Rednie kto?

Lucyna. Jan Alfred i Malwinka

Stefan (po chw. n.s.). 'To tak od trzech lat.'

Lucyna (po chw. n.s.). 'Kilki matronek!'

Stefan (n.s.). 'Kuba konczka! 'Bzdurna, nieuczesana, barzgerze i barzgerze od rana do nocy.'

Lucyna (n.s.). 'Żeby się wziął do jakiej pracy - co? kiedy w głowie pusto jak w stodole.'

Stefan (po chw. n.s.). 'A ja ja, przecie kochałem!'

Lucyna (n.s.). 'Ja mogłam pomóc za niego!'

Alfred (po chw. wchodzi z głębi). 'A, nareczcie odjechała pani Malwina. 'Dzien, dobry ci.'

Stefan (wstaje żywo). 'Dzien, dobry, dzien, dobry. Była konno?'

Alfred. 'Słk konno, konno.'

Stefan (do Lucyny). 'Jadez.'

Lucyna (nie patrząc). 'Jedź.'

Scena 4.

Lucyna, Alfred.

Alfred. 'Nie, to nie do wytrzymania!'

Lucyna. 'Oja przywykłam do tego od trzech lat.'

Alfred. 'A, przepraszam, ja myślałem o pani Malwinie - Ale do prawdy ja panią podziwiam i nieraz myślę o tem, ile pani, takki umysł podniosły i bogaty, cierpieć musi w tym fyle zapomnienia, na jakki ten nieszczęsnny Stefan panią skazał.'

Lucyna. 'Dziękuję pani, (z smutnym uśmiechem) pan nie lekasz się zaspyścić ręk od tej porzuconej kłogi...'

Alfred. 'Owierzaj mi pani, że umiem jenić te klejnoty duszy i serca, które pan tak marnie, marnie porzuca, bo ich Stefan dawnem jakimś zaślepieniem, nie wzdri. Wszakże jestem tutaj codziennie, widzę go i obserwuję, to jest prawdziwie mówiac, ja go wcale nie widzę, a tylko obserwuję, że go nigdy nie ma przy pani. Szkerze, szkerze mi żal tej ofiary!'

Lucyna. Dziękuję, panu - ale niechże pan znova nie sądzi, że to ofiara. Nie, nie jest tak źle. Nie ma na świecie idealów - oto wszystko, a pan wie, że mnie wychował poświęciwy ~~mój~~ mój wyjątek, który mnie piał sercem zasłabionego ojca i artystycznego, duszą, wielbiciela tej odrobiny talentu, jakie mam. Wiesz moja wina, że żadam od życia więcej, niż ono przeciećnie daje - a to wielka wada, (ze smutnym uśmiechem) prawdziwa wada serca!

Alfred. Biedna pani!

Lucyna (uśmiechając się j. w.). Biedna? nie - ja mam moje Musię. Dziecko i praca, to moje życie, obowiązki i rozkosz, mój świat, (bardzo smutno) moje wszystko!

Alfred. O pani, droga pani! i dla mnie miłość siotunem zakwitła; więc pozwól pani, bym ci był towarzyszem, ośladzał twoje cierpienia, rozrywał samotność - zawierz mi pani a jeszcze nam się uśmiechnie różana doba, szczęścia i znajdziesz ukojenie na wiernym sercu, które tylko dla ciebie, dla ciebie biec pragnie. (Patuje ją w rękę)

Lucyna. Dziękuję, dzie... (spostrega się, łagodnie) panie Alfredzie, ale to świadożenie...

Alfred. Otak pani, bo dopiero teraz spostrzegłem, jak twoje szczęście jest mi drogim! (Chce ją wziąć za rękę)

Lucyna (cofa rękę i wstaje, łagodnie). Panie Alfredzie - (po chwiej) regnam pana.

Alfred. Pani, pani, czy obrzilem panią, pragnąc tylko...?

Lucyna (przerzuwa). Przebacza mi panu - nie wiedziałeś, że ja kocham mojego męża. Panie Alfredzie, ileś pan uczynił - wuj mój daleko a nie mając prócz niego nikogo, straciłam jeszcze i ostatniego przyjaciela!

Alfred (chce się zbliżyć). Pani...

Lucyna (ustrzymuje go ruchem). Odejdź pan, proszę. (Alfred wychodzi, po chwiej) To się to stało? on miał mi się oswiadczyć - a ja... a ja zniósłam to tak spokojnie?! - Onie, nie chcę go więcej widzieć - nie chcę. (Idzie dalej)

Lucyna, Roch.

Roch (wchodzi po chw. z głębi, śmiechmięty, zbliża się do Lucyny z tyłu i wstania jej oczy.)

Lucyna. Tyżalam, że ktoś wszedł - Malwinka?

Roch (śmiejąc się). Aha, Malwinka.

Lucyna (wstaje). Wujaszek! ach, co za przeżycie! co za przeżycie! (Prucę mu się na szyję.)

Roch. O moje, drogie dziecko! (Opuszcisku na prawej stronie ciemnego ubrania Rocha widoczna jest biała plama.)

Lucyna. Oprzepraszam, splamiliam ubranie!

Roch (śmiejąc się i straszując bez skutku). Prawda, naciśki twoje pod, do skonała, są kontrola, - jak tylko kto ma białą markę, całował cię. Coż tu malujesz? (fratry na sztalugę.) A świetnie! świetnie! Musia, prawda? przesłizna, a przesłizna! No i jakże się masz moji suniu jak się ma Refek? ślicznie mi wyglądasz, jak prawdziwa paleta, ale coś w oczkach trocheś smatowała.

Lucyna. Ale wujaszku, zdaje ci się.

Roch. O nie, moje życie - miałai nawet, oczy wilgotne.

Lucyna. Ale upewniam...

Roch. Suniu, nie rób mi tej krzywdy i powiedz, co ci dolega. Ty wiesz, że po śmierci mojej Helenki, całkiem ^{miłość} ~~całkiem~~ jakie miałem, dla ~~mojej~~ ^{miej} tak wreszcie ~~zgasłej~~ ^{zgasłej} ~~połki~~ ^{połki} przeniosłem na ciebie i pokochałem cię, jak kochałem Helenkę. A kiedy i ciebie rodzice odumarli, zostało nas dwoje: sierota dziecko i sierota ojciec. Ojciec pokochał dziecko, a ja pokochał twój piękny talent, a ty czy mi nie kochoś? Ty masz męża, to prawda, ale ja - ja na całym całym świecie mam tylko ciebie. Tyś moje światło, jaśm twój cień - tyś szczęśliwa, ja się śmieję - ty się smucisz, jaśm nieśczęśliwy.

Lucyna. O kochany, kochany wujaszku, przebac - chciałam ukryć przed tobą, że... (Prucę mu się na szyję, Roch uważa, by go nie poplamiać, ach, ja nie jestem szczęśliwa.)

DYREKCJA TEATRU HR. SKARBKA
WE LWOWIE

Roch (wesoło). He, co znów! tak malujesz i nie jesteś szczęśliwa? - masz płótno szwajcarskie, farby francuskie, światło polskie, północne do skona! i mówisz, że nie jesteś szczęśliwa? To chyba na palecie waszego matrynstwa farby się pokłóciły?

Lucyna. Tak wyjaszku.

Roch. Toż się stało? przecież przed rokiem byłem u was i tak zdawaliście się szczęśliwi.

Lucyna. Ukrywałam się jeszcze, ukrywałam i teraz chciałam milczeć, by nie okazać... ale nie mogę już, nie mogę!

Roch. A! więc Stefan...?!

Lucyna. Tak, ten Stefan, który tyle zapowiadał, który tak umiał mówić o szczęściu, o obowiązkach ludzi szczęśliwych...! Teraz widzę, że świetne jego hasła były tylko prostym szychem, zastaniającym nicosć głębi i serca. Wiedząc, że od roku nie ma już nic wspólnego między nami.

Roch. Pój się Boga! - tyle nagród na konkursach za obrazy olejne, akwarele, guache, pastele - czegoż on jeszcze chce? gdzież on taka, druga, trzecia? Powiedz mi, jakież z sobą jesteście? co on robi?

Lucyna. Dół dmoć się, ubiera a drugie pół jest za domem.

Roch. Rybelne skrócenie perspektywy! Oj to ile, to ile! - Boże, gdybym ja był artystą, a nie barytaczem, amatorem i był twoim mężem, ach, jaka byś ty była szczęśliwa: całe dnie byś mi tylko porównała. Ale bądź spokojna, moje dziecko - opatrzność mnie natchnęła, żeś przyszedł.

Lucyna. Niech pracuje, niech czyta, niech się stanie szarym.

Roch. (z mniejszym rexonem). Ale czytać? czytać? czytać? gdzież tego biedzie? O! (z mniejszym rexonem). Ja z nim pomówię, choć być nie może, ja z nim swobodnie pomówię, ty mnie znasz...

Lucyna (widząc przez okno). O właśnie Stefan wraca, zostawiam cię wyjaszku.

Roch (z mniejszym rexonem). Wraca, wraca - tem lepiej, już ja... już ja z nim pogadam - powiem mu po prostu, że... pranie jakże się nazywa... (Lucyna obejmuje go za szyję, Roch zastania rękami surdut,

by się nie powalać! Ostrożnie! Ostrożnie!

Kucyna (z uśmiechem). Pytasz złote serce, wyjaszku drogi, ale jak się zachynasz chwiać, to zaraz mówisz: „panie jakże się nazywa”.

Roch. Ja się zaczynam...? pierwsze słyszę. Któż ci pokazuje, jak ja się chwieję. Słuchaj, o tutaj dzisiaj Stefan przed tobą będzie klękał, na kolanach, słyszesz? i będzie błagał o przebaczenie - jutro zacznie czytać, popłutrze pracować a za tydzień stanie się pożytecznym - kontentem?

Kucyna. O mój drogi wyjaszku, oby to Bóg dał! (Wychodzi na prawo.)

Roch (sam). He! - biedne, biedne dziecię! Ale zkad ona wzięła, że ja się chwieję, zaraz to zobaczymy. (Siada rywo ^{prawy} na lewo, przybiera minę, swrowa i przegląda dzienniki. Z głębi wchodzi Stefan.)

Scena 6.

Roch, Stefan.

Stefan (n.s.). Malwiny już nie dopędziłem! (Spobrzeża Rocha, gł.) A, witam, witam kochanego naszego wyjaszka!

Roch (obojetnie). Sługa, sługa.

Stefan. Jakżeś zdrowie?

Roch. Tak, tak, padam do nóg. Od troski, smartwienia - własne i cudze. (N.s.) Już zagrałem - a ta mówi, że ja się chwieję.

Stefan (z westchnieniem). Ach, Któż ich nie ma?!

Roch (n.s.). Westchnął! (Gł. szorstko.) Coś tu smutno panie u was, hm?

Stefan (j.w.). Ach, smutno!

Roch (n.s.). Anowu westchnął! (Gł. łagodnie.) Ha, jak smutno, to... to nie, wesoło.

Stefan (j.w.). Och nie!

Roch (n.s.). Jeszcze raz! nie, to nie jest taki chyłtowiek, raz po raz wrzdycha. (Gł.) Widzisz - widzisz - a przemur panie, jakże się nazywa... Przecież życie - co? światła, cienie, ale harmonia, harmonia!...

Stefan. O tak, światła i cienie, nadzieje i zawody, ale zawody tem pierze, im ja, śniej natrzyliśmy nadzieje.

Roch (z dykcją). Py malujesz?

Stefan. Malowałem kiedyś trochę, ale dziś... dziś jestem tylko... męczący się!

Roch (objmując go ramieniem). O! Stefku, Stefcie! coś? interesu?! no, no, po-
wiedz no, (ciszej) czy jeszcze możesz karteczki? co?

Stefan. Wyjaśku, jesteś najraciejszym opiekunem, jesteś drugim ojcem Lucyny,
więc chociaż z wielką przykrocią, powiem ci wszystko. (Siada.) No,
choćem ja, całą duszą - dziś nie mogę - dziś jestem dla siebie więcej niż
obcy.

Roch (n.s.). Wten! (Gl.) Bój się Boga Stefcie, ale coś ci się mogło nie podobać? - taki
cieśły koloryst, taki miękki przedel.

Stefan. Ach, ten przedel! - właśnie przedel nas rozdziel!

Roch. A Stefcie jakież kocham, toś już chyba zapomniał malować - przedel
zawsze Lucy, nie rozdziel! - Ale to ty mój Stefcie, ty-widzisz wrzask
tys jej od roku ani razu... pamięć jakże się nazywa... ani razu nie
pocałował!

Stefan. Dziś mogę? kiedy ~~brudna~~ nie uczesana, ^{dobrym pomarańcz} ~~zawalana~~, tak, że się do
niej zbliżyć nie można.

Roch (Patrzeć na swoje plame, i uśmiewać się). No, to prawda, ale...
ale... przecież jak się przebiera...

Stefan. Ależ ona od roku się nie przebiera!

Roch (wrywa się). Co? od roku?!

Stefan. Nie wiem nawet, czy na noc zdejmuję ten swój okropny kostium.

Roch. Nie wiesz? ty tego nie wiesz?!

Stefan. Miłość sztuki to miłość piękna, to ustrzeżenie do wszystkiego, co brzydkie i br-
dne, a przychodzę więc wyjaśku całemu domowi, całemu gospodarstwu.
Wszystko ładnie, bo i przemur nie ma krawa? mniejsza zresztą o to, ale
ta ~~brud~~, nieład i nieporządek taki, że ja żyję tylko albo w moim poko-
ju, albo za domem.

Roch (n.s.). Aha! (Gl.) Trekajcie Stefcie, trochę, trochę, no a gdybyś ty tak
trochę, trochęczkę, pracował? co?

Stefan. Praca może chwilkowo mój ból przygłuszyć, ale ona? - jak brudna jest, tak
brudna zostanie.

Roch. Prawda, prawda! (N.s.) Ba, teraz wiem, że nie on winien, tylko ona.
(Gl.) Dobrze, żeś mi zauszał kochany Stepiu, bądź dobrej myśli. Poczekaaj tu na
mnie, ja pójdę do niej... (Idzie ku lewym drzwiom)

Stefan. Doremna praca!

Roch. (otworzywszy drzwi do Stefana) Oj, idzie tu. (Paje mu znaki ręki, by wyszedł)
Stefan wychodzi głębia.) Nie, tu złudzenie optyczne na nic, tu po prostu
trzeba szczotki i werniksu. (Wchodzi Lucyna)

Scena 7.

Roch, Lucyna.

R. L.

Roch (n.s.) Prawda, że brudna, a nawet nie uczesana. (Gl.) Przyznam ci się moja
Lucyno, że to mnie wcale nie cieszy - a, Lucyno, tak być nie powinno, nie!

Lucyna. A cóż? odmawiasz?

Roch. Kiedyś to widziałeś... (n.s.) ha, jak jej to powiedzieć? (gl.) widziałeś, on mówi...
nie, bo widziałeś kumiećko droga, nie gniewaj się, ale on ma rację - do
prawdy ma troszeczkę racji.

DYREKCYA TEATRU HR. SKARBKA
WE LWOWIE

Lucyna. Co? On śmie mi jeszcze co zarzucać?!

Roch. Zarzucać, zarzucać, broń Boże - dalszym ja mu zarzucać, ale pranie jak
się nazywa... ot na przykład z tem całowaniem. On się nie może po-
całować, bo ty płamiesz Lucynko - o patrzaj!

Lucyna (całuje Rocha, przechylając głowę tak, żeby go niezwalać). Płamiesz!

Roch (patrzy po sobie, po chw.). A prawda, no patrzajcie się - można, co prawda
z przeszkodami, ale można.

Lucyna. Niechcie mi to wyjawzek powie. (Wychodzi.)



Roch (po chw.). Nie - to nie to - to nie to - między nimi jest coś - ale co? jakiś
okrutnie tegi sykatyw i dlatego farby tak prędko wyschły. (Z głębi
wchodzi Malwina przebrana i Stefan.)

Scena 8.

H. R. M.

Roch, Malwina, Stefan (po chw.) Alfred (na końcu) Lucyna.

Malwina. Jest pan Roch, nasz kochany wyjawzek! Jakież mnie to cieszy, że możemy

pana w naszych stronach powitać!

Stefan (do Rocha cieżej). Coż Lucyna?

Roch (ciężej do Stefana). Karar. - A pani Malwina! to pani tutaj? ~~Anna~~

Stefan. ^{Nasze} najmiłsza sąsiadka i łaskawa przyjaciółka.

Roch (n.p.). Aha, kanotujmy sobie, jest przyjaciółka! (Gl.) Fakciez pani slierznie wygląda! coż? pani zawsze obrabia jeden motyw?

Malwina (śmiejąc się). Zawsze serce! - coż kiedy moje roboty nie dochodzą, da-
lej, jak do szkicu! Jeden tylko obraz stworzyłam, ale bardzo nie-
fortunny, to też, odtąd biedna wdowa nie mam odwagi kończyć
moich szkiców.

Roch (patrzac na Stefana). Ra, bo może pani wybiera sobie niewłaściwe pa-
nie modele, co?

Malwina (z uśmiechem). Ha, może i to być.

Roch (n.p.). A co? przyznaje się.

Malwina. Ale panie Stefanie, pan jeszcze nie widział moich nowych koni ir-
landzkich, przyjechałam nimi - slierzności!

Stefan. Już są? a to chodźmy, chodźmy. (Wychodzą.)

Roch (n.p.). Ale ja ich nie mogę samych puścić! (Gl.) Ja z wami, ja z wa-
mi! (Z głębi wchodzi Alfred z manuskryptem oprawionym w reku.

~~Kto to taki~~ Roch (n.p.). Chryste Jezu! Kto to taki?

Lucyna (wzrostłszy). Co się tu dzieje? (Przedstawia.) Wujaszku, s. Alfred, nasz
najlepszy przyjaciel.

Roch (n.p.). Wolać, że najlepszy, ma aż dwie słamy - catowali się i to aż
dwa razy! Ale ja go tu nie mogę zostawić! (Gl.) Panie... przyjacie-
lu, chodź pan z nami - (woła ku drzewom) Stefciu, Stefciu! (Do Alfre-
da biorąc go pod ramię) konie pani Malwiny, irlandzkie ko-
nie... pan wie? irlandzkie!

Alfred. Ale ja ja wołałbym...

Roch (n.p.). Ra, wierzę, wierzę - Nie, żeby oni tu bezemnie robili! (Wychodzą.)

Lucyna. Nie rozumiem tego wszystkiego. (Z głębi wchodzi po chw. Alfred.)

Scena 9.

8

Lucyna. (prochwy.) Alfred.

2. A

Lucyna. Jeszcze?

Alfred. Przestraszam panią, ale...

Lucyna. Panie Alfredzie, proszę pana...

Alfred. Uspokój się pani, przed chwilą, wyrwałem pani gorętsze uczucia, to prawda, dałem się porwać podobieństwem naszej doli, zawodami - ale widzę, wznaje... wstydzę się nawet i chce pozostać tylko przyjacielem... przestraszam panią.

Lucyna (n.p. gorzko). ~~Łochowca~~ Twie i on...?! - o, mój spokój nie będzie zagrożony, nie. (R.) Za co pan przestrasza, czy za to, że się pan oświadczył, czy że mówiąc pierwszej o miłości, teraz chcesz być przyjacielem?

Alfred. Pani, zostawiłem na to syderstwo, ale mimo to rad przytoczę choćby cegielkę do szczęścia pani! Stefan pracuje (podając jej manuskrypt) oto dowód - jego powieść.

Lucyna (wstaje żywo, bierze kwiątki, radośnie). Co Stefan? - skąd pan to wie?

Alfred. Pani Malwina właśnie mi to wręczyła z prośbą, by oddać Stefanowi w sekrecie przed panią. Spojrzałem, pismo Stefana, przerzuciłem wstęp i z niego widzę, że to nie pierwsza jego praca.

Lucyna (która przeglądała kwiątki). Stefan pracuje, Stefan pisze - o panie Alfredzie, pan jesteś szlachetny i racny, dziękuję, o dziękuję panu z całej duszy. (Uścisk rąk, Alfred wychodzi.)

Scena 10.

Lucyna.

Lucyna. Boże, Boże, jakże jej szczęśliwa! - on pracuje; to jest jedna z jego licznych prac.. Co dzień rano do południa pisał zamknięty a ja go posadzałam! - ale skemurzył się krył przedemną? (Szuka tytułu.) Albo niebo, albo piekło - powieść. (Chwili.) O, teraz koniec moich cierpień upadnę mu do nóg, przeproszę, wytłumaczę - o prośną się dla mnie dni szczęścia, ach jakiego szczęścia! (Szuka w środku) Serce to

jak najlepsza matka: wiele zapomni, przecierpi, wybacz, lecz nie ma tak
silnego uczucia, któreby się nie stępiło i nie wyczerpało, ciągle dra-
żnione i lekceważone. (Mówi.) Och, to prawda, ale jak on pięknie su-
dzi! Boże jestem dumna i upokorzona! Stefanie, Stefanie, przebac mi!
(Świta dalej.) Adam kochał Olgę namietnie, a dziś? - dziś, gdy
w brudnym salonie przy brudnej sztalidze - (mówi) co to jest!
(Świta) widział, wiec nie brudna, zione, (patrzy na ręce farbami
posplamione) nieuczczona, (dotyka włosów) w zamiedbanym od
trochę lat farbami walonym stroju - (patrzy na swój ubiór) też
niegdys' uroczą Olgę!... (Mówi wstając.) Pó, niegdys' uroczą
Olgę, ach, bo jakież ja wyglądam! i ten salon - co tu za niepo-
rządek! (Świta) Póś nie mógł już pokonać wstrętu. (mówi)
wstrętu! (Świta) jaki go pchać od domu, o dziś już jej nie ko-
chał (mówi) Boże! (Świta) a cała, dusza, przygnała do uroczego
zjawiska Heleny, która, widywał codziennie - (mówi) Malwina,
to Malwina! (Świta) jakby na to, żeby jej wykwinąć i barwność jej
umysłu i serca porównywać ~~z~~ z zamiedbaniem wiecznie
młodziejzony. (Wstaje żywo.) Ależ ja nie chcę, ja nie chcę, ja go
kocham, kocham - ja go teraz nie dam! (Widzi przez okno.)
Ha, są, razem w ogrodzie - prawda, oni zawsze są, razem! - on
jej coś przepie - (z wrastającym uniesieniem) ona się ciśmiesza - poca-
łował w rękę - jak ona się na niego patrzy! - czy to wolno tak
patrzeć na cudzego męża?! (tuśnię nogą) a fałszywa, obłudna!
zmija! - Idź, tutaj! (Postawia sobie oczy.) Boże, Boże, Boże! (Wycho-
dzi w lewo.)

Scena II.

Malwina, Stefan.

Malwina. Tak, ale to nie pięknie z jego strony. Olga jest tak racna, tak warto-
ściowa, że Adam powinien być ciekaw, walczyć, wpływać...

Stefan. Wpływać? nie pani, na dzieci tylko się wpływa.

Malwina. Ciożem, miłość robi cuda - Olga go kochała, powinien być tedy próbo-
wać cudów, lecz nie padac zaraz na kolana przed Heleną. (Siada)

Stefan (siadając koło niej). Pani, czyż mógł się oprzeć, widując co dzień
tę, która wielością, umysłu, udrękiem i elegancją, (bierze ją za rękę)
tworzyła mimowoli jakby wrocy kontrast z wielością zaniedbaną, Olga
kontrast ten właśnie musiał pociągnąć jego serce, bo tu znalazł to
nad czego brakiem tam bolał. To jest psychologiczna konieczność, przy
karamie serca, któremu on-prawie musiał ulegnąć. (Łączy ją w ręce.)
(ke.)

Malwina. A ona - kobieta, oczywiście także, ale - biedna Helena! czyż koleś
ona nie padnie ofiarą, niestałości tego katamuta?

Stefan. O nie pani, bo on ją kocha nie tylko miłością, ale i cierpieniem,
kocha wszystkimi pragnieniami i wszystkimi zawodami serca.
(Łączy ją w ręce.)

Malwina. Ach, jak to pięknie! ale dokąd ich ta miłość zaprowadzi!

Stefan. Wszak ona jest wolna.

Malwina. Ale on znowu ma dzieci.

Stefan. Jedno tylko.

Malwina. Wystarczy!

Stefan. Ha, rozwód w tym wypadku nie ma, ale on już wszystko
przygotował - po rozmowie z mężem Olga porzuca go i wraz
z dzieckiem wyjeżdża z domu.

Malwina. Oni zostają sami! bez świadków, bez patrzących!

Stefan. To za pokorę! - witają się rano, regnają poźnym wieczorem,
chodzą razem, jeżdżą konno razem, jadają razem...

Malwina. Zmieszają się razem...

Stefan (łączy ją w ręce z uniesieniem). Zmieszają się razem... a duchy ich
dawno już sobie posłubione wiódą, ich w idealne szlaki czystej
mieszkalanej...

Malwina (wspada). Miłoci! - lecz ach, czyż ona godna takiego szczęścia? Olga
ma piękny talent, maluje a Helena (z uśmiechem) podobno tylko nie

DYREKCYA TEATRU HR. SKARBKA
WE LWOWIE

ile konno jeździ - więcej nie.

Stefan. Ale przymioty jej duży, jej towarzyskie zalety a nade wszystko ten mi, określony wczułek, ten powab, rozlany w całej jej ~~postaci~~ w całej postaci...
(kleka) o pani!

Halwina (wstając). Powab rakażanego owocu? halaha! nie panie, nie! (Stefan wstaje zbity z tropu.) Helena jest przyjaciółką, Olgi, Helena nie może jej zdradzić i lubo (śmiejąc się dotyka serca) z bólem serca, po winna oddać jej Adama w stanie mienaruszonym. Tak panie, niech pan w ten sposób przerobi swoje powieść, a będzie tak doskonała, jak wreszcie pośrednie.

Stefan. Pani zadurila ze mnie skądś?!

Halwina (śmiejąc się). Podobno, ale (podała mu rękę) bądźmy przyjaciółmi - tylko koniecznie, koniecznie przerobić, zwłaszcza, że w pańskiej powieści jest przecież jeszcze Jerry, ten młody przyjaciel domu, którego mu pan nie przeznaczyl żadnej roli. A przecież to niestwierdzenie, bo niech pan nie zapomina, że Olga mimo wszystko jest młoda i ładna. Jerry takie młody i przystojny - Olga zmudzona, Jerry żadny wrażeń - po? przy najmniej w życiu z takich sytuacji wywierzają się najdramatyczniejsze zawićnięcia.

Stefan. Pani sady, że moja żona...?!

Halwina. Pańska żona? ja mówię o powieści i robiłam ot przypuszczenie, które... może jest i trafne - do pańskiej powieści. - Niech pan tylko głębiej zbada sytuację i zbada charakter pana Alfreda... chce mieć pana Jerrygo...

Stefan. Pani, na miłość Boga...!

Halwina. Wszakże oni ciągle są razem...

Stefan. A! gdzie oni? gdzie oni? - przepraszam (Wychodzi.)

Halwina. Proszę go tylko nie zabić, nie poradziliśmy się mnie pierwszej - No z tej strony dla spokoju dziewczynki nic nie grozi.

Malwina. Roch.

Roch (wchodząc n.s.) Otu, jej nie ma. Biegam i biegam, nie mogę znaleźć
 Lucyńki. (~~Widząc Malwinę~~) Pani, a tegom się nie spodziewał! Och,
 jestem zmaltowany, jak stary portret. (Siada zmęczony)

Malwina. Pan już wie? Chyba pan podsłuchiwał?

Roch. Gorzej, bo widziałem.

Malwina. Co pan widział?

Roch. Ale że pani, koleżanka, przyjaciółka Lucyńki... i nie mogła panić
 jakos...

Malwina. Moja wina - jestem żywa i tłuwa i to go osmiesiło, przecież się oświadczy

Roch. Oświadczył się?!

Malwina. Proponował, ponieważ porwodu nie ma, bardzo rozkośne życie -
 tak we dwoje...

Roch. Co pani mówi? a heretyk! no i cóż?

Malwina. Postać należyta, odprawa.

Roch. Dłkna mi odprawa - catowanie.

Malwina. Ale cóż znówu?

Roch. Widziałem!

Malwina. Pan widział, jak pan Stefan...?

Roch. Ale nie Stefan, tylko Alfred catował Lucyńkę.

Malwina. A! Lucyńkę - pan Alfred? i pan to widział?

Roch. No, już proszę mi wierzyć, mam swoje dowody, niekibite dowody -
 najmniej dwa razy.

Malwina. Proszę, tego bym się była nie spodziewała.

Roch. O Lucyńce! prawda?

Malwina. Ale po nim, bo to jest sływna figura - nieznosiny zaradumiały.
 pan wie, jak ja go nie cierpię?

Roch. Ha, to też on nie catował pani, tylko Lucyńkę.

Malwina (tupiąc nogą). Po ile zrobił - skądadnie zrobił! - ja go dosyć nie
 nawidzę, żeby mi gust odwrócił od wszystkich kobiet. - Proszę, cato-

wac' sobie meziatki.

Roch. Kiedy tu są, takie słoneczne wdoiwki.

Malwina. No, że te wdoiwki nie dla niego, to pewna.

Roch. Oho, co pani na to? ja mam myśl - trzeba go ożenić.

Malwina. Jakiż ożenić?

Roch. No tak, jak się wszyscy żenia, ale ożenić dobrze, bardzo dobrze, tak, żeby naprawdę żona, spokojna, żeby zapomniała o Lucynce i zmusił Lucynkę, żeby o nim zapomniała - co? - Więc znaleźć mu kobietę, wyroza, wesołą, piękną, ot tak na przykład jak pani.

Malwina. Co? ależ ja go znaleźć nie mogę.

Roch. Ja wiem, ja wiem - tylko mówię tak - coś w tym guście.

Malwina. Aha, tak pan myśli - no a Julia?

Roch. Za dużo werników.

Malwina. No to może Julia?

Roch. Parby świeże, ale pudło stare.

Malwina. Zaraz, zaraz - a... a Rozia?

Roch. Ładna, to prawda - na model doskonała, ale na żonę - gaska. Lóż bo pani ^{za} jakieś zakazane egzemplarze wyprukuje - a on gostrzem lepszego łosu, bardzo przystojny, formy doskonałe i ma tak coś... pani uważała? on coś ma...

Malwina. Trudno, trudno, hm, hm, hm - a żeby może gdzieś wyjechał, tak na kilka lat? ale nie, to za długo. - Bodaj do stolicy na rok, na pół roku...

Roch. To dobre, to takie dobre, ale - ^{go upilnuje? bo} kto, co pani myśli? - taki awanturnik?

Malwina. Prawda! [pochw.] ale wie pan, ja bym już zrobiła dla Lucynki, też ofiarę, i pojechałabym może także, żeby...

Roch. Oja wiedziałem, że pani ma słachetne serce. Tylko hm, ja go pierwszy raz widzę - ja nie mogę, - kto mu zaimprastuje tę wiadomość?

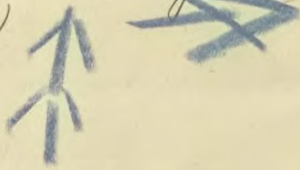
Malwina [p. chw.] Ja?

Roch. Ach, pani droga! gdyby pani chciała z nim mówić i wizerkiem

11
swe go oczka wczem podwazyła mu sumienie...

Malwina. No będzie to najcięższa ofiara, ale... dla Łucynki.

Roch (ciągnie w rękę). Dla Łucynki, dla Łucynki! Dziękuję, dziękuję pani zaraz go wyszukam i przysiężę. O pani, bodajem całe życie kominy malował, jeżeli za rok nie będzie pani bawił takiej malutkiej (po. kazuje) szafary, która ma pani wymaluje. (Wychodzi żywo na lewo.)



Scena 13.

Malwina, Panna, dwóch lokajów.

(Panna i lokaje zabierają się do sprzątania i porządkowania)

Malwina. Co to będziecie robić?

Panna. Jaśnie pani kazała tu posprzątać.

Malwina. A przecież raz. O, weźcie te skatunki, tam w kącie, jeszcze to (po. magajim) i to - i to. (Składają skatunki, szkie i t. d. w głębi na stole, n. s.) Łucynka się opamiętała - co za przesłucie! - jeżeli to wskutek moich uwag, to bardzo się cieszę. - Ale przygotujmy się do walnej rozmowy - ja mam mówić z nim! za ciężki przyjąłam obowiązek! za ciężki! - Oho, zdaje mi się, że idzie. (Z głębi wchodzi Alfred; Panna i lokaje wychodzą.)

Scena 14.

Malwina, Alfred.

Alfred. Mówił mi pan Roch... jakto? to przecywiście pani życzy sobie ze mną mówić? pani?

Malwina (z ironicznym uśmiechem). Póki, ja - i niezawodnie tylko absolutnej ko. niechęci zawdzięczam tę przyjemność.

Alfred (z ironicznym uśmiechem). Ocala przyjemność po mojej stronie. - Czem mogę służyć?

Malwina. Niech pan siada. (Siada.)

Alfred. Dziękuję. (Siada.)

Malwina (po chw. zakłopotania nie potwarzaj na niego). Siadał pan, proszę.

Alfred. Siedzę, strzękuję.

Malwina (po chw.). Proszę pana, czy... czy to prawda, że pan... czy...? pan
lubi stolicę?

Alfred. Stolicę? - nie, nie lubię;

Malwina. Wtedy pan lubi wieś?

Alfred. Tak, lubię wieś.

Malwina. A stolicy nie.

Alfred. A stolicy nie. (N.s.) Z czego ona chce?

Malwina (n.s.). Jak z kamienia. (Wt. po chw.) Był czas, gdzie pan podobno lubił
stolicę?

Alfred. Był, ale minął.

Malwina. Ja bo lubię miasto.

Alfred. A ja lubię wieś.

Malwina (n.s.). Am, rusz! (Wt.) A jednak miasto... miasto! - tyle pięknych
gmachów... tyle kościołów... tyle inteligencji, kwiat towarzy-
stwa - teatru, bale, przyjemności - ruch, życie - a co za to wszystko
dać może wieś? - ot kilka osób nudnych, ziewających, wicernie
tych samych. które (uśmiechając się) idą, na przykład jak stary
zegar przy usypiającym marszu: tyk - tak, tyk - tak, ciesząc się,
gdy od godziny do godziny ku powszechnemu rozweseleniu
ustyrza: kuka! kuku!

Alfred (uśmiechając się). Zajmujące porównanie, ale za to wieś ma wiele
prawdy i szczeroci - tylko na wsi można być sobą. Na przykład
tylko wsi muszę zawdzięczyć, że poznałem kobietę... ale przepra-
szam, wprowadzić bardzo to przyjemna rozmowa, lecz pani ży-
czyła sobie ze mną, mówić...

Malwina. Proszę, proszę - mamy jeszcze czas. A więc poznał pan kobietę...
(n.s.) tak, to dziewczynka.

Alfred. Poznałem ją, taką, jaką jest w rzeczywistości - w stolicy byłoby to
niemożliwe, bo świat, bo forma, bo zewzta, brak sposobności nie

nie pozwoliłyby jej odstąpić się tak swobodnie, jak tu w cztery oczy bez świadków, bez otoczenia.

Malwina (n.s.). No, proze, państwa! (Gł.) I pan ja, pokochał?

Alfred. Tak, pokochałem z całej duszy, a jednak...

Malwina (koniecy). Nigdy ona pańska, nie będzie! - Skrzególnie upodobanie rzucić umyślnie serce do wody a potem tamai ręce na brzegu i wo. łac: ach, zgubiłem serce! zgubiłem serce! - Do mężku jest serce wy. dobyć, osuszyć z wody i też, jeżeli by morze jakie były i - stłóżyć je w lepsze ręce.

Alfred. Wyznaż, że jestem za słaby - i tylko cierpieć, ale czasem mam chwile tak miłe, tak rozkoszne, jak na przykład dziś.

Malwina (n.s.). Kiedy ja, całował. (Gł.) To mi tam krytykować sudze gusta, ale doprawdy nie pojmuję, co pana w niej mogło zachwycić.

Alfred. Dickna, jak anioł!

Malwina. Ona? ależ ona nie ma brwi, przypatrz się pan tylko.

Alfred. Pani żartuje - a oczy, co za oczy!

Malwina. Proche, zezują - pan nie uważał.

Alfred. Potem ten wdzik, ten wrok nieopisany...

Malwina. Wrok? - Rore, jak to panom nie wiele potrzeba! (n.s.) Wrok - w wa. mazanym kubraku! (Gł.) A widział pan jej ręce, nogi? - o takie długie.

Alfred (patrzy na nią). Widziałem - pięciodelka!

Malwina. Ha, to już oczywiste zaklepienie! na to nie ma rady.

Alfred. Jest każda pani, ale ma ja, tylko wies! - W mieście pod wpływem tego, ^{jak pani mówi} zaklepienia, byłbym już dawno prosił o jej rękę, i ożenił się z moim...

Malwina. Co? pan byłby...? ~~I byłbym najmieszczliwszym z ludzi, a tu...~~

Alfred. I byłbym najmieszczliwszym z ludzi, a tu...

Malwina (wpada). Przecież ona...

Alfred (przerzywa). Ona z początku zdawała się podzielać moje uczucia, ale wnet dzięki własnie swobodzie wiejskiej poznałem w niej

tylę kłującego sarkazmu...

Malwina (zdumiona). To? co? (zakrywa się z radością, domyślając, że to o niej mowa.)

Alfred. Tyłę niepoohamowanej złośliwości i uszczypliwości, których za dła zawrze z upodobaniem przeciwnko mnie zwracała...

Malwina (n.s.). To to ja?

Alfred. Że jestem ocalony. Więc za to mam wdzięczność dla wsi, dla poczciwej, stwarłej wsi, bo w mieście, gdzie chwile krótkie a życie szybkie, zapóino może byłbym się ocknał, że poznałem - bezduszną, kokię!

Malwina. A panie, nie. - Ty na wsi, czy w mieście, ona zawrze byłaby tak samo postąpiła.

Alfred. Tem ci gorzej - cma leci ginąć w płomieniu, ale bierny płomień nie stroi się dla niej w osobny urok, nie uśmiecha się, nie nęci - a ona!

Malwina (zawrze z uśmiechem). Po mu cma jest obojętna.

Alfred (po chw. zastanowienia, goraco). Pani! co pani mówi?!

Malwina. Chwile, że płomień nie kryje żadnego afektu do cmy, dlatego się do niej nie stroi.

Alfred. A więc jeżeli się stroi, jeżeli ja, wabi...

Malwina. A cma, ot jak zwykła cma, tego nie widzi...

Alfred. Wtedy płomień...

Malwina. Może się bierzy i pryska.

Alfred. O pani! - a więc pani...? mój Boże, więc ten płomień...?

Malwina. Potężna w obronie obranionej godności... Matko Boska! jaka ja byłam zła!

Alfred. Orlote serce! (całuje ją w rękę.)

Malwina. Tyłko że ja nie skracalam sobie czasu, tak, jak inni, oświadczając miłoinemi i tym podobnie.

Alfred. Pani wie? Dalem się unieść, do prawdy to rozpaczk pchnęła, mnie do tego kroku, alem się spostrzegł, a nawet podniosł (z uśmiechem) aż do tej wyżyny, że powieść Stefana, która, pani mi powierzyła przejęciem i na dowód, że Stefan pracuje, dalem pani drukować.

Malwina. To? też powieść pan...? Jexus, Marya! co pan zrobił!

Alfred. Co takiego?

Malwina. Alex... a Boże, Boże! co to będzie! ona się dowie...! będzie myślała, że pan Stefan... że ja... A muszę zaraz... (chce otworzyć lewe drzwi, lecz nie może) zamknięte! musi przystać w altanie - chodźmy, chodźmy! - Panie Alfredzie, to co pan robił jest okropne...

Alfred. Nic a nic nie rozumiem.

Malwina. Ale piękne i mnie się bardzo, bardzo podoba - (zalogotnie) a to pan rozumie?

Alfred. Opani! - Malwino! (Łatuje ją w rękę, wychodząc.)

Scena 15.

Stefan.

Stefan (wchodzi z prawych drzwi) E, niech tam dyabli biorą! głębsi świat! - co i ma rację, co by to było za życie? Nie, ale bo Malwina tak zawzięcie się mną, się bawiła, tak widocznie przenosiła moje towarzystwo nad Alfreda, że ja... e, ot fantazja, dajmy temu pokój - ale co ona chce z tym Alfredem? Panie pokoiłem się na parcie, ale - nie, nie... moja żona to bądź co bądź racna kobieta, chociaż... e, co u dyabła za myśli! (Chodzi i muci, ~~podoba~~ po chw.) Darmo, trzeba dalej uderzyć w tę obrzydłą skorupę - (rozgląda się) a tu co się stało porządek, jakiego od trzech lat nie widziałem - co to ma znaczyć? Ale co ona tam znówu nabazgrała? (Staje przed obrazem) Musia! dajlibog Musia - a doskonała, te buziaczki, te oczka, - to bardzo ładna rzecz, bardzo ładna. - Hej, hej, co by to była za kobieta, gdyby...

Scena 16.

Stefan, Roch.

Roch (wchodzi żywo z lewej). Jesteś narzeczone! a ja cię sukam i sukam! (Siłkuje go za rękę, dramatycznie) Stefanie, bądź moim!

Stefan (zakłopotany). Jak... jakto? wy, wie?

- Roch. A wiem, ale i ty wiesz?
- Stefan. Ot głupstwo, chwilowa fantazyja.
- Roch. Ha, ostatecznie wszystko widziex jest chwilowa, fantazyja, a przecież są, chwilowe fantazyje, za które - padam do nog, co? Ale dobrze, że ja tu jestem i niedopuszczę nieszczęścia - postaram się już, że on wyjedzie do stolicy.
- Stefan. Kto taki?
- Roch. No Alfred.
- Stefan. Tę tu Alfred...? nie rozumiem.
- Roch. Nie rozumiesz? jak się młoda i ładna, kobieta zostawia sam na sam z młodym i ładnym chłopcem, to ty tego nie rozumiesz?
- Stefan. Chodzi o nią? - to kobieta z sercem.
- Roch. To też właśnie, że z sercem - gdyby serca nie miała, tobym się nie bał.
- Stefan. Ale wyjaśnij! co mówisz? to potwarz! - ona mnie tak kochała...
- Roch. Kochała się, ale kiedy, ha? a przez ten czas - co? jeżeli ty jej od roku ani razu nawet nie pocałował, to coż się dziwisz? - to panie artystyczna dusza a każdy artysta ma zawsze kilka obrazów za ścietych: jeden szkicuje, drugi kończy - tamten gruntuje, a ten już w ramy oprawia - to sobie pamiętaj.
- Stefan. Boże, Boże!
- Roch. A tak, tak - nie gniewaj się, ale uderz się w pierś, bo to twoja wina - bałeś się zawałać a inni widziex nie bali się i ot masz teraz.
- Stefan (wstrząsa Rochem). Wuj, na miłość Boga!
- Roch. Aha, żal ci teraz żony - a widziex. (Stefan chodzi, wzburzony. N.s.) No skruszał już jak rąj - teraz ja, przeprasza. (Otwiera lewe drzwi i woła.) Żuniu, chodźno, masz życzy sobie z tobą, mówić. (Stefan staje na prawo i odwraca się.)

Scena 17.
Ci sami, Lucyna.

Lucyna (wchodzi w bardzo starej tualecie). Zyczyx sobie ze mna, mówić - jestem.
Roch (z podziwieniem i uśmiechem do niej ciszej). Hm, hm, hm, aż tu na bież od ciebie. (Głośniej) Tak, Stefan zyczy sobie z toba, mówić - chodzi, chodzi. (ciszej grożąc z uśmiechem.) Tyłko durniu, nie figlaj - te plany, wiesz? - durniu - nie figlaj. (Lucyna staje opodal.) Hęciu... przysła Lucynka. Lucynka przysła. (Idzie do Stefana.) Hęciu 'chciales' z nia, pomówić. A może wolisz, żebyś was samych zostawił? Co? - przy co mówisz?

Stefan (odwrócony). Nie, nie.

Roch (wraca do Lucyny). Zaraz, zaraz - wiesz - żal - wzruszenie... Albo wiesz, lepiej ty pójdziesz do niego, tak wiesz od serca. (Bierze ją za rękę, chce prowadzić ku Stefanowi, ale ona stoi.)

Lucyna. Stefanie, mam prośbę do ciebie.

Roch. Tak, dobrze, dobrze - dalej. (Idzie do Stefana.) Hęciu, ona ma prośbę do ciebie - co? i po co ty na to? (Wraca) On chce wiedzieć, jaka, masz prośbę, moje dziecko?

Lucyna. Żebyś mi pozwolił wyjechać.

Roch (idzie do Stefana). Żebyś jej pozwolił... (wraca) co? wyjechać? na co? po co?

Lucyna. Pragnę wyjechać.

Roch (idzie do Stefana). Ona pragnie wyjechać - no? hm? (Wraca.) On chce wiedzieć, na jak długo.

Lucyna. Na zawsze.

Roch. Chryste Jezu! 'na zawsze'? a to znówu co nowego? Hęciu, Stefeczku, nie pozwól, od czego jesteś mężem? ~~prawa~~? - On nie pozwala.

Stefan. Przeciwnie pozwalam.

Roch. Nie, ale co wy drisiaj wykrabiacie. 'Nalego chcesz porzucić męża i to w chwili, kiedy już już chcieliście się pogodzić'?

Lucyna. Nalego, że... że ja go nie Kocham.

Roch. Co? ale co ty mi będziesz mówić? nie Kocham - już ja ci powiadam że wy się Kochacie, jak koty - no jak koty, to może nie, ale Kochacie się, Kochacie, daj spokój. - Nie płakałaś to dopiero niedawno, ja

DYREKCYA TEATRU H. SKARBKA
WE LWOWIE

go nie chce, ja go nie chce! - co? a ty mnie wdychałeś przed chwilą, ach, ja z nią żyć nie mogę - nie mogę! "ha? czy to nie znaczy, że wy się kochacie? czy jest kiedy inaczej między matronkami? (kierując się do Lucyny) No, ale ja wam nie będę przeszkadzał, nałożyłem wam farby na paletę i zagruntowałem - teraz sobie malujcie - tylko Juniu, (pokazuje plamy na ubramin) nie figluj już więcej Juniu! nie figluj! (Wychodzi.)

Scena 18.

Stefan, Lucyna.

Stefan (pochw.). Doszli. (Ogląda się, zachwycony widokiem Lucyny n.s.)
Kto to? - co? ależ to Lucynka!

Lucyna. Mam do ciebie... prośbę.

Stefan. Prośbę? - bardzo... bardzo się cieszę... (przekrywa jej śmiech) ale siadaj, proszę - (n.s.) zachwycająca! (Gł.) O coż idzie?

Lucyna. Chcę wyjechać.

Stefan (z zalem). O! - ale siadaj, siadaj Lucynko. (Siedzi ja, i sam siada koło niej.)
Chcesz więc wyjechać? - wprawdzie bardzo, bardzo mi tu będzie... siebie brałowało, ale - a na jak długo?

Lucyna. Na zawsze!

Stefan (wstaje). Lucynko, co ty mówisz?! jakto? dlaczego?

Lucyna (wstaje). Dowiedziałem już, bo... bo ciebie nie Kocham.

Stefan. Nie Kochasz mnie? ty mnie nie Kochasz?!

Lucyna. Postąpiłeś, jak ci kazało twoje przekonanie, a tymczasem przez 3 lata żyliśmy każde dla siebie, każde stworzyło sobie swój osobny świat...

Stefan. Ojebny świat? (n.s.) więc przecie Alfred! (Gł.) Lucyno, droga Lucyno, ja zdradziłem - ale zapomnij, przebacz! a będziemy jeszcze szczęśliwi!

Lucyna. Chy? nigdy! Pan zdradził mnie sobie, bo na to zastąpiłem - ja straciłem szacunek dla pana, bo sądziłem, że w puchu wygod i strojów rabiłeś ducha, którego tak pokochałem. A jednak dosyć mi było jednej chwili, ażeby się przekonać, że kochałem ciebie, kochałem więcej.

miż kiedy...

Stefan Lucyno!

Lucyna O tak chciałam ~~pram~~ uprosić do nog.

Stefan (~~przerzuca i kłeka~~). Lucynko, Lucynko, droga!

Lucyna Chciałam wyznać moje zaśnięcie, moje winę. Tymczasem - przebu-
dzenie trwało krótko, chwilę i... i dlatego chcę jechać.

Stefan Lucynko, na miłość Boga! ależ (wstaje) a, rozumiem, powiedz racz-
nie, żeś mnie przestała kochać, ale żeś pokochała innego.

Lucyna Ja? - no a gdyby i tak było, cóżbym zrobiła gorszego, niż pan zrobiles?
Przytulałam pańską, ostatnią, powieść.

Stefan Pani przytulała? - A więc dobrze, z tego wszystkiego, co tam napisałem,
to tylko jest prawda, że kochałem się, cała, dusza. Ale kiedy ty
wróciłaś się do swojej pracy, ja począłem w tajemnicy przed tobą,
pisać nowelkę, ażeby ci ją, niespodziankę zrobić. Decz już po-
staregałem u ciebie jakis' chłód, cięskosć, że wreszcie przy swojej
sztaludze zapomniałaś nie tylko o mnie, ale porwał to sobie
przypominać, i o sobie. W pracy więc tylko szukałem pociechy, a
na koniec postanowiłem nawet porzucić wiaść za przedmiot do
powieści. Dalem jej tytuł: „Albo niebo albo piekło” bo u mnie małżeń-
stwo może być tylko albo niebem albo piekłem - ^{średniej drogi} ~~średniej~~ nie znam. Był
to jęk boleści rozpaczonego męża. Myśli, które snulem, słowa, które
kreśliłem - wszystko to egzaltowało mnie coraz więcej i zdawało mi
się, ~~wreszcie~~ że pani Chalwina jest tutaj po to tylko, ażeby ją u jej nog
zrucilić ciężar mojego męczeństwa, a ona żeby była moją pocieszycielką.
Ale pani mała dziełną, przyjaźniółkę, pani Chalwina obłata mnie,
zimną, wodą, i - wszystko skłócone. - A teraz - przepraszam, i tak
za długo mówiłem - teraz już nie zatrzymuję pani. (Staje przy
sztaludze.)

Lucyna Stefanie!

Stefan (z uczuciem). Musiu, Musiu moja biedna! (Do chw.) Wiem, że
nie mam prawa dziś już odebrać pani dziecko, ale pamiętaj

frani, że nawra Elusia... [zasłania sobie oczy, uruwniony, po chwie] Och, Boże!
Boże! matka, która z taką miłością, umiała wyfucić portret swojej
córeczki, była zdolna, zgotować jej równocześnie kanibę!

Lucyna. Stefanie!

Stefan. Pani chce mi odmierzyć równą miarką - i coż to były za amory między
mną, a Malwiną, jeżeli, jak widzieliśmy, sama Malwina dała ci tę nieszcze-
rą powieść do przeczytania?!

Lucyna. To nie Malwina, to pan Alfred dał mi ją, nie znając jej treści, żeby
mnie pojednać z tobą i przekonać, że pracujesz.

Stefan. Alfred?!

R Scena 19. L. St

A. M.

Li sami. Malwina, Alfred, (na końcu) Roch.

Malwina (wchodząc z Alfredem). „Albo niebo albo piekło,” powiedziałam pan-
karze się dowiemy, bo oto mam zaszczyt przedstawić państwu no-
wą parę kandydatów do tego nieba, czy piekła.

Lucyna (z radością). Włec oni...?

Stefan (kłęk przed Lucyną). Przebaczenia! (Wchodzi Roch.)

Roch. A co? nie mówiłem, że drisię jęzore na kolanach będzie kłękał?

Lucyna (ucieszony mój praca się na szyję Rocha). Wujawku, ach nie
uwierzyć, jak...

Stefan. Jak jesteśmy szczęśliwi!

Roch. Głemu bym nie uwierzył, kiedy ja sam tak się cieszę, jakby
mnie kto na sto blaj tramów wsadził.

Koniec



BIBLIOTEKA TEATRALNA

Własność Gminy m. Lwowa.



L. 28001.

Wyrok c.k. Prezydium Samorządu
receptem z dnia 14 października 1893.
nadali Dyrekcji Teatru hr. Skarbka we
Lwowie pozwolenia na przedstawienie
na scenie komedyi i. akcie przez
Leonida Mordeyckiego p. v. „Albo niebo,
albo piekło.”

Lwów 14. października 1893.



Konniowski

DYREKCYA TEATRU HR. SKARBKA
WE LWOWIE

K.I, 16

6.12.2005

lun

